Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 44. Poznań, dnia 1. Listopada. 1841.

Literatura sławiańska.

Wiadomości o Czechach.

(Dokończenie.)

Hasłem ich jest: bij chłopa jak wołu, żeby pracował jak wół, ale mu téż daj źréć jak wołowi. — Jaki postęp czyni ludzkość w Galicyi, pokazuje się z następującego; w niektórych okolicach Galicyi, a szczególniéj koło Lwowa, weszli panowie z poddanymi w umowy (rozumie się, że podejściem i gorzałką wywabione), aby wszystkie pola, tak pańskie jako i swoje własne, uprawiali pańszczyzną, i to dzień w dzień. Wieśniak nie ma się więc już o co starać, ani o podatki, ani o uprawę własnéj roli, ani ogrodu — tylko nosi jarzmo wraz z wołem. Jakie to dobrodziejstwo! ostatnią wieśniakowi zabierając wolność czynią go dobrowolnym rabem. Na Podolu pędzą panowie gromadami poddanych na pola, o kilka mil od wsi oddalone; tam biedacy cały dzień pracować muszą za pokarm składający się z pół funta mięsa albo ziemniaków, a ta strawa stoi jeszcze za część zapłaty im należnéj. Są tam jeszcze inne powymyślane roboty, tak zwane tłoki, t. j. w sobotę pan wyprowadza czyli właściwiéj wygania całą wieś na pole, gdzie ludzie cały dzień robić muszą, rozumie się, że z grzeczności albo ochoty; a na wieczór każdy, stary czy młody, dostaje kwatereczkę gorzałki, którą może albo na miejscu wypić albo zabrać do domu. Za całodzienne zmęczenie — kwatereczka wódki!..... prawda, że to szlachetna nadgroda! — a lud ruśniacki jest najpracowitszy w Galicyi. Patrzcie na te nieprzejrzane łany żyta i pszenicy, uprawiane przez wieśniaków ruskich, jakich w waszych Czechach nie widać.«

Poezya w tym roku u Czechów świetnie się ukazała w poezyach Bolesława Jabłońskiego (Básnie Boleslawa Jablonského). Istno-poetyczne płody, tchnące duchem jędrnéj czeszczyzny. Składają się z 5 części: 1) trzy złote włosy (bajka z czasów pogańsko-czeskich); 2) Bóg miłości (obraz z czasów pogańsko-chrześciańskich czeskich); 3) pieśni miłosne (w 2 oddziałach); 4) mądrość ojcowska (dydaktyczny cyklus); 5) poezye drobne. Krytyk tychże poezyj, W. B. Nebesky, témi słowy kończy swój rozbiór: *Fave, Phoebe, novus tua templa intrat sacerdos.* Wspominam tu jeszcze o dwóch zjawiskach w Czechach, i to dla tego, że one najlepiéj świadczą o wzmagającéj się działalności ducha narodowego, t. j. o teatrze czeskim, o balach i koncertach czeskich. Przedstawiają w przeszło 30 miastach i miasteczkach czeskich (także w kilku morawskich i słowackich) sztuki czeskie. Lecz na tamtych teatrach nie popisują się stałe truppy płatnych aktorów, lecz prywatne osoby, w większéj części studenci, którzy podczas wakacyi grają, a to tylko, aby zadosyć uczynić własnym chęciom i życzeniom spółziomków występują. Dochody obracane są na dobroczynne cele, najwięcéj na ubogich. Znajduje się między tymi aktorami wielu prawdziwie utalentowanych, n. p. Tyl, który także pisze oryginalne sztuki. Oprócz niego Klicpera, Sztjepanek, Turinski i inni dostarczają dzieł do przedstawień scenicznych. Na balach i koncertach czeskich najprzód tylko w Pradze dawanych (obecnie już je w innych miastach czeskich dają), język czeski samowłada*), i słychać tam tylko śpiewy czeskie.

O Ilirszczyźnie.

Na ziemi węgierskiéj od kilku lat żwawa wre walka między narodowością słowiańską i madziarską. Madziarowie bowiem, którzy sam środek kraju zajmują, na zmadziarzenie Słowian węgierskich zęby ostrzą. A do téj operacyi z niejaką szaloną żarliwością się rzucają. Lecz ci madziaromaniści trafili na swoich. Stawiają im dzielny opór Słowianie, tak północno-wschodni czyli Słowacy, jako i południowo-zachodni, pod imię Ilirów skupiający się. U Słowaków, liczących się do szczepu czeskiego, słowiańskość coraz nowych nabiera sił, bo nie tylko młodzież słowacka do wrodzonéj

*) Żeby tak też było w pewnych towarzystwach szlachty polskiéj, gdzie francuszczyzna bierze górę. *Przyp. aut.*

narodowości, drogiéjto spuścizny po ojcach mocno przylega, ale to też ważna, że szlachta słowacka poczęści już zmadziarzona, albo do madziarzyzny skłaniająca się, nieswojski ten pierwiastek z siebie zrzucać i do należnéj jéj narodowości wracać zaczyna. U Ilirów duch słowiański dobitniéj się odzywa. Między nimi dwaj mężowie, Ludwik Gaj i Janko Draszkowić, réj wodzą. Ze Zagrzebu (stolicy Kroacyi) jakby z ogniska ilirskości, oni rozsyłają miłość i przywiązanie do narodowości swojéj. Ludwik Gaj, jako wydawca Dennicy ilirskiéj,*) która jużto szósty rok z pod jego wychodzi redakcyi, za pomocą piśmiennictwa na wszystkich Słowian szczepu ilirskiego wpływać nie przestaje, a ustalona przez niego pisownia, którą ilirscy Słowianie wyznania rzymskiego przyjmują, i która obecnie za rozkazem rządowym ma być zaprowadzona do narodowych szkół ilirskich i używaną w książkach elementarnych dla użytku młodzieży ilirskiéj. Także drukarnia ilirska, przez niego założona, popierają postęp literatury tegoż szczepu Słowian. Janko Draszkowić zajmuje znakomite miejsce w ożywianiu narodowości ilirskiéj, i wszelkim przedsiewzięciom patryotycznym zamierzającym podniesienie ilirskości przewodniczy. Jest on przełożonym nad czytelnią ilirską w Zagrzebie ustanowioną, która codzień jest otwarta i licznie zwiedzana. Czytają tam oprócz innych słowiańskich czasopismów także polskie, a z pomiędzy młodzieży Zagrzebskiéj wielu się uczy języka polskiego. Teatr ilirski w Zagrzebie**) jest bardzo dobry; obecnie patryota Draszkowić stara się o wzniesienie gmachu, przeznaczonego na sam tylko ilirski teatr, bo dotychczas teatr ilirski i niemiecki w tym samym odbywają się budynku. Draszkowić stoi także na czele koncertów ilirskich, gdzie same ilirskie zabrzmią śpiewy. Jak daleko już niemczyzna ustąpić musiała ilirszczyznie, pokazuje się ztąd, że nietylko widać napisy ilirskie na wywieszkach (szyldach) u kupców, rzemieślników i księgarzy, ale nawet w cukierniach przedawają cukierki owinięte w papierki ozdobione wierszykami i dewizami ilirskiemi. Co się tyczy piśmiennictwa ilirskiego, to prócz pierwszego tomu nowego zbioru pieśni ludu ilirsko-serbskiego wyd. przez W. St. Karadzicia (o których po wyjściu całego zbioru obszerniejszą dam wiadomość) wyszedł w Eszeku, stolicy Sławonii, pierwszy zeszyt pieśni ludu sławońskiego (Tamburaszi ilirski), staraniem towarzystwa zawiązanego tamże w celu podniesienia piśmiennictwa narodowego. Towarzystwo to wydaje czasopismo literackie »Jeka od Oszeku« (echo Eszeckie), redagowane przez Topalowicia. Przygotują téż do druku opisanie Bośnii i słownik ilirsko-niemiecki. Mówią, że Wuk Stefanowić Karadzić całe pismo święte na język Serbów ilirskich przełożył. Pewnego o tém nic nie wiem. *A. Mosbach.*

*) Czasopismo to liczy już przeszło 70 spółpracowników ze wszech ziem ilirskich. Do Ilirów liczą: Słowian zamieszkujących Karyntyę, Krainę, Sztyrsko, właściwie tak zwane królestwo Ilirskie, Dalmacyą, Kroacyą, Sławonią, słowiańskie pogranicze wojskowe, Bośnią, Serbią i Czarnogórze. Ilirowie wyznania greckiego dotychczas od ulubionych cyrylskich zygzaków ani rusz.

**) Przed kilku tygodniami grali tam »Zryńskiego«, dramat w dwóch oddziałach. Strona Zryńskiego mówiła po ilirsku, a Turcy po niemiecku. Już też truppa aktorów ilirskich po wielu miastach gra na przemian.

Literatura krajowa.

Poezya.

Bekfark lutnista.

Dyalog.

Zrywa się z łoża Bekfark lutnista,
A był to ranek, a był to Maj —
Prześliczny Maj. —
Żegna się w koło — bo oczywista,
Że ktoś go zbudził głosem — i wstaj
Wola Bekfarku wstaj.

Czy z dworca kto?
Co śmiało go
Wola Bekfarku wstać?
»Czy królowéj Bonie grać?
»Jak tobie było wliść tu dworzanie?
»Kiedym na klucze zamknął mieszkanie?
»Klucz pod wezgłowiem leży jak był, —
»A oknem wliść — to djablich sił,
»Bo równo z dachem na trzeciéj gadzie
»Komnata moja.«

Tak ciągle prawi — a w rogu komnaty
Czarna mu postać stanęła — i kładzie
Szeroką swą dłoń na lutnie. — »Za katy!
»Stoj śmiałku to lutnia moja!
»Bekfarka lutnia, pierwsza we dworze,
»I nikt jéj więcéj dźwignąć nie może,
»Bom zamknął w nią dźwięk moich mysli,
»Z poklaskiem do niéj panowie przyszli,
»Dumni panowie — królowa — król —
»I gdy zawzięcie struny się ruszą,
»To ktoby nie chciał rozmawia z duszą,
»Jakby rozmawiał przed Bogiem,
»I kto nie boli — uczuje ból —
»Jakby się żegnał z chłopięciem drogiem,
»Takie nań struny moje, łzy zmuszą.«

Postać silniejszym ramieniem jęła,
W objęcia swoje lutnię śpiewaka —
A Bekfarkowi złość się zacięła
Na tego czerńca — żebraka —

Bo jak żebracka odzież podarta,
Rosą czy kurzem bekiesza starta —
Ino się czarno iskrzyła.
A między siwe włosy przybylca
Liście paprocie, jak u opilca,
Jak na śmiech, ręka jakaś wrzuciła.
»Nie ciśnij lutni — na imię Boże!
»Precz od méj kochanki łona —
»Ino pierś moja — ta pierś święcona —
»Dla mojéj lutni jest łoże.
»W niéj ją utulę — ogniem rozgrzeję!
»I dam jéj miłość słowika,
»Moje bogactwo, szczęście i dzieje
»Wtedy jéj głosem wykrzyka.«
A ten przybylec — drab czy opilec,
Ręką włos rzucił od czoła,
Pojrzał śmiejąco — smutno — gorąco,
I na Bekfarka tak woła:
»Słuchaj przed czasem śpiewu mojego —
»Dworski lutnisto — strojony —
»W chwilach południa dnia sławiańskiego
»Ludzie posłyszą me tony;
»Im dzisiaj śpiewać, tobie przystało,
»Mnie za daleko, do bycia —
»Dziecku co rośnie — pobrzdąkać chwałą,
»Dla mnie trza południa — życia.
»Nie w górę patrzeć, bo tam są chmury —
»Nie dołem — tam jeszcze błoto;
»Ot ja, jak mogę opuszczę z góry,
»A ty, jak możesz — z ochotą,
»Śpiewaj — śpiewajmy.« —
Głos się rozwinął —
Po lutni palce mu drgały,
Smutno — szumiąco — jakby las płynął,
Struny i pieśni na strunach wstały —
Bekfark drżał cały.
A w téj komnacie grzmiące południe
Oknem zawartem się leje —
I ciepłym słupem, barwionym cudnie
Stanęło w szybach, jak świadek i śmieje
Z dwóch sił walczących;
Z zimna pokoju — ze swoim żarem,
Z piersi Bekfarka, z przybyszem starym,
Śmieszno mu z dwóch sił w jedno bijących,
W postęp bijących.
Bo szyba była wiekiem dla słońca,
Bo wiek był szybą dla gońca,
Przyszłéj poezyi gońca. —
Wtym zerwał Bekfark lutnię do łona,
Pierś zadyszana, myśl zapalona,
Takie mu niesie słowa śpiewacze:

Bekfark.

Nie kuś méj piersi — pierś moja rzeka
Niewodem spławi ci lica,
Serce ci spłacze zmoknie powieka
I duszę połknie tęsknica.

Nie kuś méj ręki, struny gdy wziołem
By targnąć w dumnéj piosence,
Dwór mi królewski poklęknął kołem,
Królewskie klasły mi ręce.

I takie pany — i takie panie
Serca mi swoje pokładły,
Że, jakbym sułtan, siadł na dywanie,
Że jakbym w seraj miał na zwołanie
Te, co mym śpiewem pobladły.

Bom ci zanucił — wdzięki kochania
I pierś na piersi stłoczone
I ramie w ramie tak okolone
Nagie, śnieżyste, pieszczone.

Że tak lubować, choć do skonania,
Że tak pustować z nocy w zarania,
Chciałyby serca dziewoi,
Że takiem życiem przeżyć swe dzieje,
Że taką pieśnią pieśnić nadzieje,
Choćby w Erebu wpłynąć koleje,
Chcieliby pachołcy moi.

Usta na usta — ramie na ramie
I oko w oku lubego,
Wiewna bielizna, okryciem kłamie,
Wstyd uciekając haczy swe znamie.
I krasi usta, lice i ramie,
Jak wschodem dnia pogodnego
To jutrznia — to wschód — pienia mojego!

I dyszą piersi młodych pamiątek,
Jak ptaszki w krzakach o wschodzie,
I wstają czucia, jakby w ogrodzie
Kwiaty z kielichem pełnym o wschodzie
Pytają rzewnie, a kędy wątek
Bekfarku, kędy brałyś początek
Téj śpiewy, co nam dała zawziątek
Hassać w miłosnéj przygodzie.

Zkąd brałem wątek? w lutnisty czole!
Kędym pieśń słuchał — w podlocie —
Bom ja pierś waszą, senne pachole,
Podsłuchał w sennym bełkocie.

* * * * *

Masz moc Bekfarka, masz pieśń Bekfarka,
Daj Bogu — lutnię porzucaj.
Ona w twym ręku, narzeka, sarka,
Ty ze mną walczyć — marna poswarka —
Chcesz — próbuj — zacznij, zanucaj. —

On.

On pochwycił lutnię drżącą,
I brzęczącą — sarkającą,
Tuli z cicha — stroi z cicha,
Brzęk ustaje, jakby wzdycha.
Wnet zagrzmiał, wstrząsnął strunami
Jako chorągwiami,
Palce sokolim latają ruchem,
Zda się, że lutnia kłuci się z duchem
I skarży łzami —
A Bekfark uchem
I myślą lata z strunami.

1.

W komnacie błysła lampa — a okno spłonione
Czerwonawym rumieńcem popatrzyło w Wisłę —
Ktoś wchodzi do komnaty — czoło zamyślone
I gładkie męzkie ręce na szabli zawisłe —
Ból i litość na twarzy, jak żar u kagańca,
Znać, że oba anioły z serca się porwały
I czując jego skazę w niebo lecieć chciały,
Lecz nim skrzydła rozwiną, żegnają zmazańca
Niewiasta — biała piana, co po Wiśle pływa,
Z komnaty się ku niemu aże w próg rozbieży —
Kalinowemi usty myśli z czoła zmywa —
W białe dłoni i w bielsze piersi swe uderzy,
I głosem, w którym złuda jak owoc dojrzywa
W takie żałobe uderzy.

Panna Urszula.

Królu, mój panie, marszczka na czole,
Gdy w moim sercu, dzień jasny,
I tak mi dzisiaj rączo w swawole,
Jak gdy rozigra młode pachole,
Że mu świat Boży za ciasny.

Zygmunt III.

Kroczę do ciebie — spokój do duszy
Zda się potulny już kroczy —
Łez zapominam patrząc wam w oczy,
Myśl ma — komnata, w któréj się mroczy,
I niby śpiąco, smutek się ruszy,
Ale nieśmiały stanie w uboczy
I zrnca szatę — katuszy —
Chciałbym — lecz słyszysz śpiew — on mnie goni —
Czy rzucę głowę w wasze białe ramie —
Czy ją utopie w méj zaciśléj dłoni —
Słuchaj i powiedz — czy ten głos nie kłamie.

(Słychać z dala pieśń, kilka zwrotek niewyraźnych — w końcu głos podchodzi pod same okna kamienicy.)

2.

Żartkiemi kopyty, aż ziemia gorzała,
I w górę rzuciła pył —
A nad nią w tle nieba zrzenica wisiała
Orła, co ich ojcem był.

Pył w górze i orzeł — dwa cienia w obrazie,
A cienia tam trzeba co miar,
Bo tam mąż przy mężu — żelazo w żelazie
A krew im przyświeca by żar.

Rzucili uściski — całunki, ramiona,
Ci matek — ci lubych — ci żon,
I święte im myśli obsiadły u łona,
I świętszy ich cel — bo skon.

I pierwsze ich myśli w skonaniu — o niebie,
A drugie bolesne — bo legli dla ciebie —
Królu! a gdzieś zapodział owoc z mężnéj krwi?
(Głos cichnie.)

Król.

Pieśń to — czy mi się śni!
(Podnosi się. — Wrzawa na ulicy.)

Matki.

Gdzie nasze syny? —

Żony.

Królu! gdzie męże? —

Sieroty.

My dziś bez ojca — królu, gdzie ojce? —

Białogłowe.

Mój na żegnaniu — prawił — zwycięże —
Bo nam z pomocą król się pokwapi —
Gdzieżeś się kwapił — królu nasz panie!
Gdy pod Cecorą wrzało spotkanie.

Dziewice.

Młodź nasza trupem — lub ich jarzmo trapi,
Komuż ślubować serca tułacze.

Król.

Słyszysz — to naród płacze —
Gromem słów — tętni ludu mego ból,
I chcesz, by zaśmiał król.

Panna Urszula.

Królu, królu! — ja ukoję —
Smutek ludu — boleść twoję —
Chwila . . . . . .

(Wychodzi do drugiéj komnaty — coś szepnęła. Słychać potém iście po schodach. Urszula wróciła. — Z domu Urszuli wychodzi ksiądz Boboli.)

Posłuchaj teraz — lud czołem uderzy. —

(Na ulicy głos księdza Boboli.)

Ludu! — szczęśliwy kto wierzy,
Że Bóg doświadcza polubieńca swego,
Cześć więc i chwała niech bije do niego
Z ust, gdzie mieszkały smutki tak pogańskie,
Że śmiały trącać nawet imie pańskie!
Żony, dzieci i matki — Bóg wam łzy ukoi,
Pytajcie jego, kędy wasza strata —
A on wam rzeknie: Na prawicy mojéj
Na chwałę świata — aż po końcu świata —
Idź — chwalić pana . . . . .

(Widać lud cisnący się za księdzem w kościół.)

Urszula (miłośnie).

Lud ustąpił — rozlał się — teraz chwila moja —
Gdzie dłoń wasza, gdzie usta . . . . .
Lutnia Bekfarka,
Śmieje się — sarka,
To znów letko ton kołysze,
Jak pierś miłośna, gdy dysze,
Rozbudzona piersią drugą
Bekfark się sili, porywa ją z dłoni
Czerńca, co taką pieśń roni —
Chce śpiewać — czuje, że lutnia papugą
Tylko te pieśni dobywa,
Które czerniec śpiewa.
A jego własne myśli — powiędłe, zmarniałe —
O blasku dworców — o wielkości panów
Wypadły z głowy na szatanią skałę,
I losem córki Lota wzięły wzrost bałwanów.

Głos ludów zda się krzyczeć trąbą archanioła
Ścisło mu serce — gra mu potem czoła —
Palcem zawadził o nutę niezwykłą,
Skoczył by ogniem piekieł oparzony
Pięścią zgruchotał lutnię — i jéj struny
Rwie zębem . . . . .
Właśnie na godzinę zwykłą
Poszedł dworak od królowéj Bony
Do drzwi Bekfarka, mocnem bije głosem:
»Hej, hej! śpiewaku! do dworca pańskiego
»Król i królowa na twój śpiew tak radzi.«
Bekfark rozbudzon dworaczym rozgłosem
Patrzy, jak czerniec, okiem szydnym wadzi
I ciągle pośmiewa z niego —
»Idź, idź — do dworca Bońskiego,
»Oni tak wielcy, oni tak radzi.«
Rzucił się ku drzwi piersiami całemi,
Aby odepchnąć dworszczyznę od siebie,
Bo dusza jego — jak słońce na niebie,
Przejrzała w inne — nieopiewane dzieje,
Oko mu zaszło — myśl w głowie szaleje,
Witając jutrznię przyszłych śpiewów ludu —
Gasnął tak zwolna, jakby czekał cudu,
Kiedy się chóry niebieskie rozkrzyczą —
A mistrz tajemny — nad swoją zdobyczą,
Rozciągnął wielką, karczącą prawicę.
Ludu Bekfarkowéj śmierci przeczuł tajemnicę,
Cicho snuł się w pogrzebie — a łzy nie uronił,
Wyrokiem swoim w grobie go dogonił —
Aż do dziś cięży piewcy kara wieczysta,
Bo lud rzekł o nim: Zmarł dworak lutnista.

D. M.

Znów dumka wieśniaka w jesieni.

(Zobacz Nr. 45. z roku przeszłego.)

Przeszło lato, przeszło,
Słonie*) z nieba zeszło,
Zeszło z nieba słonie
Pusto na zagonie.

Pusto na zagonie
Liść pokrywa błonie,
Wiatr na dworze wyje,
Zwierz się w jamę kryje.

Idzie — idzie zima,
A tu chleba nie ma,
A tu nie ma chleba,
O mój Panie z nieba!

Pracowałem z wołem
Cały dzień pospołem,
Całusinkie lato,
I cóż dziś mam za to?

Zorałem, zasiałem,
Zeżąłem, zebrałem,
A com zapracował,
Pan do gumna schował.

Sypie on hołocie,
Com ja zebrał w pocie,
Dajże choć koszuli
Dla mojéj Maruli.

Maruś moja młoda
Świeża kiéj jagoda,
W chorobę zapadła
Kiejby chusta zbladła.

Zbladła kiejby chusta,
Zsiniały jéj usta,
W słup stanęły oczy,
Z ust się piana toczy.

U pańskiego dwora
Mają tam doktora,
Jeno że z apteki
Kupić trzeba leki.

Prosiłem Imości,
Ale miała gości.

* * *

Zmarła Maruś młoda
Świeża kiéj jagoda.

Wyniosłem ją z chatki,
Owinąłem w płatki,
Położyłem w grobie:
»Śpij tu Maruś sobie!«

Nie dzwoniły dzwony,
Wianek nie święcony,
Przeżegnałem ręką,
Wpuściłem z trumienką.

Nie było plebana,
Jak na pogrzeb pana,
Nie było pieniędzy,
Nie ma mszy dla nędzy!

Śpij, Marulu młoda,
Świeża kiéj jagoda,
Maruś, moje dziecie!
Lepiéj w tamtym świecie.

Tam już biedy nie ma,
Tam nie przyjdzie zima,
Tam nie braknie chleba,
Bo tam ojciec nieba.

O mój ojcze w niebie,
Weź i nas do siebie,
Boć tu na wytrwanie
Siły już nie stanie.

Julia W.

*) Wyrażenie ludu wiejskiego za słońce.

O przesądach we względzie lekarskim panujących w kraju naszym.

Wyjątki z rozprawy napisanéj przez Ludwika Chodkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wypadek zaś niepomyślny téj walki śmierć musi być podwójnie uważaną. Raz jest ona przeznaczeniem

człowieka, jak jego urodzenie się i życie. Drugi raz jest ciosem nieszczęśliwego wydarzenia, przed którym on mógłby się uchronić, gdyby się w innych stósunkach z otaczającemi go wpływami znajdował. Pierwszy rodzaj śmierci następuje w skutku zużycia narzędów żywotnych, które przeszły wszystkie życia koleje stopnie i zmiany, które z wytrwałością działając połączonemi siłami opierały się nieprzyjaźnym wpływom — i nużone ciągłą walką, do której przeznaczonemi były wolniały stopniami w działaniu — i raz się jeszcze ostatni wytężywszy przed zgonem nareszcie działać przestały. Taka śmierć jest niezmiennem prawem każdemu określoną, prawem, które żadnym umysłem, żadną wolą ni siłą zwalonem być nie może — i jest to pierwszy jéj rodzaj, który my przyrodową zowiemy. Taką śmiercią nie wielu umiera ludzi, — dla czego? bo do niéj prowadząca droga życia jest długa i błędna i na niéj zawad i przepaści wiele. Na téj drodze spotykane przygody walczone być muszą, w tych walkach wyczerpują się siły, nadweręża budowa. Skołatana budowa nie może już tém samém mieć uprzedniéj trwałości. Jeśli zaś w zbyt nierównéj walce upada zgruchotana przewagą sił, którym jéj własne nie podołały; taką śmierć, takie zaginienie człowieka nazywamy śmiercią przypadkową. Taka śmierć nie będąc nieodzownem przeznaczeniem zostaje w naszéj mocy. Dosyć jest złoczyńcy, mieć ostry sztylet i pewną rękę, aby taką śmiercią zgładzić człowieka, — dosyć jest umiejącemu pływać rzucić się za tonącym do wody i świadomie sobie z nim począć, aby go uratować — lub też znawcy cierpień ludzkich umiejętną nieść pomoc walczącym siłom ustroju, aby te zwycięzko wyprowadzić z walki. Śmierć zatém przypadkowa jest wypadkiem zawziętéj odpornéj walki ustroju naszego przeciw szkodliwym wpływom, — choroba samą walką; — walka istnieć nie może, gdzie nie masz sił mogących na się działać wzajemnie; te więc siły są nam dane prawem niezmiennym stworzyciela. Powstaje nam tylko wiedzieć, czy one również zostawione są przez niego w zależności od zmysłów i woli naszéj, — czy noszą na sobie cechy, że władza nad niemi wpływa do źródła umysłowości ludzkiéj — a założenie nasze rozwiązanem zostanie.

Siły wpływów przyczynami chorób powszechniéj zwane, że są dostępne naszym zmysłom, każdy codziennie się przekonywa z wypadków bardziéj widocznych. W razach zawilszych potrzeba do ich wykrycia nauki, doświadczenia i bystrości umysłu. Że również zależą od woli naszéj wątpliwości nie ulega. Mnogie choroby leczą się usunięciem przyczyn, które je wznieciły. — Potrzeba tylko woli naszéj, aby wyjąć źdźbło ugrzęzłe w oku, a zaognienie jego wkrótce samo ustanie. Również rzeczą jest pewną, że siły ustroju naszego, które swą walką z uprzedniemi chorobę tworzą, zostają pod wiedzą naszéj umysłowości co do warunków istnienia i działania — i zostają pod wpływem naszéj woli — ażeby bowiem ich działalność do zera zniżyć, lub do wysokiego stopnia natężyć, lub według okoliczności, zmienić, dosyć jest potrzebną do tego posiadać naukę, dosyć jest mieć dobrą wolę, aby ściśle wykonać jéj zasady w użyciu tak zwanych lekarskich środków, które odkrycia i doświadczenia wieków w moc i wiedzę naszą oddały. Dodajmy do tego, że władza nasza nad chorobami nosi na sobie cechy wyłącznéj od nas zależności — ma bowiem historyę swojego postępu, ze zgubnych wypadków się rozwijała i na nich doskonaliła stopniowo, i że w tym postępie liczba chorób niepojętych, nieuleczonych lub bezwarunkowo śmiertelnych coraz się bardziéj zmniejszała i zmniejsza. — Możemy więc śmiało wyrzec, że jak losy nasze i stósunki społeczne, tak również stósunki ustrojowego naszego istnienia prawem niezmiennym zostawione są naszym zmysłom, woli i siłom — do tych więc uciekać się nam wypada w razie, jeśli ustrojowe istnienie walką z siłami szkodliwych wpływów zagrożonem zostanie, a uciekać się rychło należy — bo jeśli budowa nadwerężoną będzie w swoich posadach, odbudowaną na nowo być nie może; raz przeistniawszy musi runąć i w swoich szczątkach nieść potrzebny surowy materyał do budowy nowych istot, które z jéj szczątków powstają, tego nas doświadczenie wieków nauczyło.

II. Nauka lekarska w kraju naszym była w zaniedbaniu i nieledwie w pogardzie. Uprzedzenie i przesąd ojców naszych, nie dozwalały się jéj rozplenić na własnéj niwie. W czasach niezbyt od nas odległych zaledwie stolice i główniejsze miasta kraju miały nie wielu lekarzy i to po większéj części cudzoziemców, w których ręku ona wyłącznie zostawała. Po przestronnym kraju włóczyli się szarlatani kupczący nią niegodnie, których oszustwa zasiały cierniste krzewy niewiary, dające się nieraz późniéj czuć boleśnie pierwszym wychowańcom szkół lekarskich Krakowa i Wilna. Przez tych jednak z prawdziwą godnością wykonywana sztuka lekarska powoli zaczęła przyciągać zwolenników. Widoczne i niemal dotykalne jéj skutki, zyskiwały powoli zaufanie. Za przykładem oświeceńszéj szlachty i panów zaczęli w nią wierzyć i nasi biedni wieśniacy — tyle przynajmniéj, ile w szepty swoich znachorów — i jeśli w swych cierpieniach mają lekarza, który im natrętnym sposobem radę swoją oświad-

cza, przeciwić się jéj nie chcą. Tak tedy mniéj więcéj sztuka lekarska w kraju naszym pozyskała dla siebie wiarę — jéj wykonawcy zaufanie. Zaufanie w sztuce zdrowia pozyskuje się czynami do ich zdziałania potrzeba zasadniczéj umiejętności i doświadczenia a nie szczęścia. Szczęściem bowiem raz tylko — najwięcéj razy kilka można coś szczególnego zdziałać; lecz szczęściem bez uprzedniéj nauki i talentu, żaden człowiek nie zdoła wziąwszy pędzel w rękę malować jak Smuglewicz — ani ująwszy skrzypce grać jak Lipiński. Dla czegoż o umiejętności lekarskiéj, która najwięcéj potrzebuje mozołu pracy i zdolności przesądnie u nas mniemają przyznając po największéj części pomyślne wypadki leczenia szczęściu, nie zaś prawdziwéj umiejętności. Gdyby więc tak było, Struś, Dziarkowski, Śniadecki nie mieliby innéj zasługi na tę, że byli szczęśliwi — Müller, Mageandie, Dupuitren, Lisfrank, Dieffenbach musieli zapewne szczęściem tylko przyjść do téj olbrzymiéj sławy, która się w obrębach Europy pomieścić nie może. Tę zasadę należałoby zapewne wpoić młodzieży, która rozogniona chęcią nauki traci bezsenne noce nad księgami — naraża swoje płuca na oddech zgniłym wyziewem trupów i swoje zdrowie na zaraźliwe w szpitalach choroby. — Bo na cóż się to wszystko przyda, jeśli cały ich przyszły zawód ma zależeć od szczęścia — jeżeli życiem tysiąca chorych, którzy się ich pieczy powierzą władnąć będzie raczéj jakaś tam na niebie błędna gwiazda, która im przyświeca, a nie ich własna zasadnicza nauka. Lecz na szczęście ludzkości nie podzielają oni tego przesądu; wiedzą bowiem aż nadto dobrze poznawszy z bliska swój zawód, że bez prawdziwéj nauki i kroku w niem zrobić nie można

Początkowy zawód praktycznego lekarza szczególniéj jest uległy tego rodzaju sądom — jeżeli go za szczęśliwego w leczeniu chorób ogłoszą, może być pewnym swojéj wziętości — jeśli przeciwnie niech się pożegna z całą swoją przyszłością — rozległa droga usług dla ludzkości będzie mu przez połowę zawartą, głazami i cierniem zawaloną. Wszystkich oczy będą na niego przez szkło uprzedzenia patrzały; a kto przez ubarwione szkło patrzy, widzi podobnież barwiony przedmiot. Musi jednakże być przyczyna, z któréj podobne sądy powstają. Dwie ich nawet naznaczyćby można. Pierwszą jest: nieumiejętność brak wszechstronego wykształcenia w nauce lekarskiéj i potrzebnych do jéj wykonywania umysłowych zdolności. — Powszechność jednak nie mogąc przejrzeć ich wnętrza, niepomyślne wypadki przypisywać zwykła nie brakowi nauki, lecz brakowi szczęścia. Drugiéj przyczynie ulegają ci, co w początkowym swym zawodzie natrafiają chorych, których żadna moc ludzka przy życiu utrzymać nie zdoła; kilka nieszczęśliwych a zawsze głośnych podobnych wypadków naraża lekarza, pod którego okiem przenieśli się do wieczności na uszczerbek w opinii powszechnéj. Powiedzą o nim wtedy: ha, być może, że ma naukę, że leczył prawidłowo, lecz nieszczęśliwie. Wyrok ten przesądny gromem poraża całą przyszłość takiego lekarza. Próżnoby się odwoływał do swoich prac podjętych do swojéj umiejętności. Rozwinąć już jéj w całéj świetności nie podoła, bo zmniejszył się obręb jego działania; brzmi i echem rozchodzi się w podal odgłos, który od niego odstręcza i cierpiącym na innéj drodze każe szukać ulgi i ratunku. W takim razie sąd ze skutków o przyczynie jest mylnym, przesądnym, a nadto i szkodliwym.

Rzadsze to jednak są wypadki, gdzie się powszechność na prawdziwéj naukowéj wartości lekarza nie pozna, tym tylko wykracza, że skutki wynikające z nauki przypisuje szczęściu, a te co z nieumiejętności pochodzą nieszczęściem mieni. Zdaje się, że powyższe nasze rozumowanie zupełnieby inaczéj przekonać powinno.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Krytyka.

Theorie des großen Krieges,

angewendet

auf den russisch-polnischen Feldzug von 1831,

durch

W. v. WILLISEN,

Königl. Preußischem Oberst im Generalstabe.

Berlin, 1840.

(Dokończenie.)

Walcząc z tą myślą, że w potrzebie jeszcze do miasta schronić się można, nie działanoby z obozu z tém zaufaniem, jakiego wymagało położenie; zwłaszcza, jeżeli skutki jakie korzystne osiągnąć chciano — i owszem, gdyby nieprzyjaciel zatrudniając tylko wojsko w szańcach zebrane, chciał na miasto uderzyć, z boku od Czerniakowa lub Marymontu w chwili najgorętszéj bitwy w mieście, należałoby z obozu działać zaczepnie. — Łatwo z tego rozumowań wywodu przekonać się, że obrona Warszawy nie wytrzyma krytyki ani co do zasad szańcowania, ani pod względem taktycznym; zamiast bowiem założyć oszańcowany obóz, w środku linii do obrony danéj, urządzono prawie otwarte gdzieniegdzie tylko z tyłu zamknięte ostrokołami dzieła złego narysu, bez dostatecznéj dla osady wewnętrznéj przestrzeni — zamiast porządnego wału z obroną rowu i wszelkiemi środkami oszańcowania polowego, lichy ciąg otwartych strzalczanów — nie mniéj źle także i miasto wewnątrz wzmocniono. Znowu pod taktycznym względem błędem jest, właśnie w chwili stanowczéj rozdzielać siły swoje — a jednak roztrząsając szczegóły szturmu d. 6. i 7. Września, ani powątpiewać, że

gdyby umiano gruntownie zastósować zasady sztuki szańcowania i działania taktycznego zaczepno-odpornego z oszańcowanego obozu, nieprzyjaciel nie uniknąłby był porażki. Nie spodziewano się wprawdzie tak blizko krytycznéj chwili, ale i to nie małym między innymi błędem prowadzących sprawę polską, że ani Warszawy, ani Modlina w zasoby na całą zimę nie zaopatrzyli.

Wszelkie kroki po wzięciu Warszawy sami Polacy sobie utrudnili oddaniem mostu i oszańcowanéj Pragi — niemożność znowu dalszego działania wypłynęła ztąd oczywiście, że się Romarino z główną siłą z Warszawy ustępującą nie połączył, ale się udał na południe — że też nie do niego, ale do Modlina cofnęła się; zaniedbano pierwszego prawidła wojny, żeby massy ile można trzymać razem, chodziło teraz o to, aby ile można chwalebnie zakończyć wojnę: działanie wojenne, możność przywrócenia równowagi i skutku pomyślnego przeminęły — tym bardziéj, że naturalnie nieszczęśliwe wypadki znękały naród cały, mógł jednak jeszcze jakiś szczęśliwy traf przynajmniéj nie tyle opłakany nadać kierunek sprawie. — Willisen kończy rozbiór wojskowy tą dla nas bolesną myślą Szyllera: »Die Weltgeschichte ist das Weltgericht« (dzieje są sądem świata).

Jeszcze po wzięciu Warszawy nie wszyscy na sercu upadli, były pomysły dobre — brakowało znowu działania — z tych wszystkich dwa najważniejsze myśli przytoczymy. Generał Dembiński poddawał, ażeby ze wszystkiem rzucić się wzdłuż Narwi na Litwę i tam gdzieby się dało nowe ognisko działania założyć, a przytrzymawszy zimę możeby wdanie się polityczne nastąpiło. Trafniejszy śmiałością i łatwością wykonania był pomysł wspomnionego, nateraz pułkownika Schultz: ażeby skoro tylko gwardye ku Modlinowi, korpus Pahlena przeciw generałowi Romarino na prawy brzeg Wisły przeszły, a tak małe siły pozostały w Warszawie, nagle raz jeszcze próbować szczęścia i z zapałem od Modlina całą siłą zreorganizowaną na nowo rzucić się na Warszawę, gdzie się jeszcze nieprzyjaciel nie ustalił, szańce zewnętrzne sam na siebie teraz obrócił w działaniach 6. i 7. Września, gdzie ludność pomogłaby to przedsiewzięcie przywieść do skutku, tym bardziéj, gdyby korpusa generałów Romarino i Różyckiego połączone także z swéj strony spółdziałały — sam zaś urządziwszy stósownie do celu czołna, podejmował się spalić most pragski, jedyny związek w owym czasie rozdzielonych sił nieprzyjaciela — rozpacz mogła doprowadzić do nadzwyczajnych wypadków.

Przeminęły chwile sposobne korzystania zaraz od początku — 2. 10. Kwietnia — 22. 23. Maja — w Czerwcu i Lipcu do zapewnienia równowagi i rozwinięcia zaczepnéj wojny — znowu pod Warszawą obrony i czekania wypadków politycznych, gdy tyle sposobności strwonili kierujący przez swoją nieumiejętność, gdy tyle dobrych zamysłów wykonać nie umiano — żadne się z tyłu przedsięwzięć nie udało — musiałaby każda sprawa upaść, tym bardziéj słabszego, jedynie działaniem, zapałem, wyższością moralną i umysłową wznieść się i utrzymać mogącego. — Ze strony polskiéj nie było zaufania, pomysłów każdy poddawał nie mało, żadnego nie wypełniono — nie było naczelnika, coby wszystkie okoliczności uchwyciwszy działał z zapałem. Szczęście na stronę rossyjską przechyliły względy polityczne, zupełne w sobie zaufanie, jedność pomysłu, śmiałe działanie — a następca Dybicza zastał już przygotowane wypadki, działaniem tylko koniec przyśpieszył.

Przy końcu raz jeszcze powtórzymy naszą uwagę, że lubo Willisen wszystkie poruszenia w szczególności gruntownie roztrząsnął, jednak działania pojedyńczo, oddzielnie tylko rozbierane, nie uzupełniają ze wszystkiem Sądu; należało jeszcze przed wszystkiem objąć rodzaj i cel wojny w powszechności z jednego stanowiska, z jednego punktu uważania rzeczy przejrzeć, przetrząsnąć cały obszar wojny, całą przestrzeń działania; wszak za każdym skokiem całą szachownicę przeglądamy, — w działaniu na przestrzeni wszystkie poruszenia muszą być z sobą w związku, są i pozorne ruchy; z konieczności musimy nie raz ponieść małe ofiary dla większych korzyści — jeszcze błędem nie jest, gdzie działamy, ale jak. — a do wojny polskiéj czysto-wojenne zasady nie całkiem zastósować się dają, jak skoro w ciągu działania inne pobudki na wypadki wpłynęły; nie było też gotowéj siły, najgłówniéj więc trzeba było ile można zbierać wszędzie i skupiać massy — urządzać śpiesznie siły, dopiero je strategicznie prowadzić — nowa trudność dla kierujących wojskiem — nie podołali, bo nie tylko wyższych zdolności wojennych, ale i dobréj administracyi kraju nie mieli — wieki tylko geniusze wydają.

Oto treść przeglądu krytycznego Willisena, i uwagi, jakie nam się przy czytaniu nasunęły. Cześć talentowi jego, szczęśliwy naród, który takich obywateli posiada!

Kraków, dnia 10. Maja 1841. *J. G.*

Doniesienia literackie.

W tych dniach zwiedził Poznań znany w literaturze sławiańskiéj »Purkinje.« Zacny ten mąż raczył zabawić dni kilka w mieście naszém po swéj podróży w Czechach odbytéj.*)

W litografii Kurnatowskiego w Poznaniu wyszła wybornie przez pana Sarneckiego wykonana rycina Lelewela, którą zalecamy czytelnikom naszym.

*) Purkinje, professor psychologii i pathologii przy uniwersytecie wrocławskim, którego dom jest obecnie jedynem ogniskiem literatury sławiańskiéj a mianowicie polskiéj, w Wrocławiu, jest jednym z najznakomitszych badaczów natury. Urodził się 17go Grudnia 1787. r. w miasteczku czeskiem Libochowice, w r. 1805 wstąpił do zakonu Pijarów, który jednak przed uczynieniem ślubu opuścił, wiedząc, że zakres członków tego zakonu nie może harmonizować z żądzą jego działania wolnego dla ludzkości. Ukończywszy więc późniéj kurs filozoficzny na uniwersytecie w Pradze, objąwszy miejsce nauczyciela prywatnego na trzy lata, wolne chwile poświęcał nauce lekarskiéj, któréj kurs znów w Pradze ukończył, pracując trzy lata bezpłatnie przy szpitalu tamtejszym. Doktorską jego rozprawą jest dzieło wydane w Pradze roku 1819. (Kilka spostrzeżeń o nauce widzenia w subjektywnym względzie), które sławę jego literacką ugruntowało. Od roku 1819. do 1823. obejmował urząd assystenta anatomii i psychologii przy uniwersytecie w Pradze. W roku 1823. powołanym był do Wrocławia. Inauguralną swą dyssertacyę wydał tamże pod nazwą: Beobachtungen und Versuche zur Physiologie der Sinne. Tom 1wszy, w Pradze, 1823. Tom 2gi, w Wrocławiu r. 1825. — i zwrócił uwagę wszystkich uczonych, mianowicie i Götego. Lekarze i badacze natury, którzy mieli sposobność talent jego w subjektywnych badaniach podziwiać, oddali temu pismu tak ważny wpływ na postęp przedmiotu, o którém mówił, wywierające-mu, słuszne pochwały. Mimo tego pismo to o ile wpływało na umiejętność nie znalazło dotąd krytyka, któryby całą jego wartość umiejętnie wyłożył. Pan Purkinje w Wrocławiu wpływa szczególnie na umysł swych słuchaczy i młodszych badaczów natury; mnóstwo wybornych rozpraw i artykułów o anatomii, psychologii, sławiańszczyznie i polszczyznie jemu zawdzięczamy. Mąż ten należy do liczby tych mężów, którzy z zacisza swego w zakresie swym najbliższym, najgórniéj działalność swą rozwijają, a choć ich prace nie we wszystkich żurnałach za pieniądze są chwalone, jednak największy wpływ na postęp cywilizacyi wywierają. Przedewszystkiem, jak powiada Conversations-Lexicon der Gegenwart zawdzięcza dzieło Valentina i Pappenheima, jemu swą sławę. W użyciu mikroskopu p. Purkinje znany jest przez swą biegłość i wytrwałość. Z pism jego wymieniamy jeszcze »*Symbolae ad ovi avium historiam ante incubationem. Lipsk* 1830.« niemniéj »*De cellulis aetherarum fibrosis.*«

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*